

BESTSELLER NEW YORK TIMESA

Ta książka wywołuje we mnie cały wachlarz emocji!
[Tembi Locke] uczy się zdrowieć w najpiękniejszy sposób —
poprzez wsparcie trzech pokoleń kobiet — i tak, jest też włoskie jedzenie

REESE WITHERSPOON

Tembi Locke

Wspomnienia
o miłości,
Sycylii
i odnajdywaniu
domu



 editio

Tytuł oryginału: From Scratch: A Memoir of Love, Sicily, and Finding Home

Tłumaczenie: Irmina Lubowiecka

ISBN: 978-83-8322-380-3

Copyright © 2019 by Tembi Locke

All rights reserved, including the right to reproduce this book or portions thereof in any form whatsoever.

The original publisher copyright © Simon & Schuster.

SIMON & SCHUSTER PAPERBACKS and colophon are registered trademarks of Simon & Schuster, Inc.

Polish edition copyright © 2024 by Helion S.A.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<https://editio.pl/user/opinie/odzews>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <https://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

Spis treści

Prolog 13

CZĘŚĆ I 19

Przed

Pierwsze smaki 21

Posmaki 55

Willa. Miotła 82

CZĘŚĆ II 105

Pierwsze lato

Kamienna wyspa 107

Coś wspaniałego 129

Chleb i solanka 142

Ciasto Schiavellego 155

Piasek wulkaniczny 171

Gorzkie migdały 182

CZEŚĆ III 191

Drugie lato

Pamiętki rodzinne 193

Przy stole 202

Ricotta 215

Ksiądz 229

Hera i szafirowe morze 240

Terra vostra 254

CZEŚĆ IV 263

Dziki fenkuł 265

Procesja 274

Sos 284

Szałwia i święci 296

Przepisy 309

Od autorki 339

Podziękowania 341

PIERWSZE SMAKI



Wysiadłam z samolotu w Rzymie, z jet lagiem, i wraz z grupką koleżanek ze studiów ruszyłam z paszportem w dłoni w kierunku odprawy celnej. Miałam dwadzieścia lat i to był mój pierwszy wyjazd za granicę. Mój program wymiany Wesleyan University z filią Syracuse University we Florencji właśnie się rozpoczął.

W terminalu zetknęłam się z pierwszymi dźwiękami i zapachami włoskiego baru. Roił się od stałych porannych gości, popijających espresso i jedzących *cornetti*. Podeszłam do gabloty z ciastkami, położyłam dłoń na ciepłym szkle, a potem, kiedy barista zapytał, co podać, wskazałam palcem, niczym dziecko, które nie umie jeszcze mówić. Podniosłam trzy palce. Trzy różne *cornetti* w torebce na drogę. Jedno bez nadzienia, jedno z kremem i jedno z marmoladą. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że jakaś wersja takiego baru istniała na rogu każdej ulicy we Włoszech. Że to, co miałam w torebce, było tak popularne jak keczup albo, bardziej trafnie mówiąc, jak pączek w Ameryce. Po prostu cieszyłam się w oczekiwaniu na pierwszy kęs.

Włochy nigdy nie były częścią mojego wielkiego planu. Jedynym wielkim planem, jaki miałam w tamtym czasie, było zostanie po studiach zawodową aktorką. Chciałam być aktorką, odkąd tylko pamiętam. To był mój plan na życie w szerokiej perspektywie, nawet jeśli, jak dotąd, nie miałam jeszcze konkretnego pomysłu, jak to osiągnąć. To byłby przeskok.

Nie planowałam też zostawić Wesleyan i jego sennego miasteczka studenckiego nad rzeką Connecticut, ale pod koniec trudnego pierwszego roku trafiłam na kurs podstaw historii sztuki. Prowadził go doktor John Paoletti, światowej klasy znawca włoskiego renesansu. Podczas pierwszych zajęć, kiedy w audytorium przygasły światła i pojawił się pierwszy slajd, przedstawiający grecki fryz z Koryntu z około 300 r. p.n.e., zostałam zauroczona. Dwa semestry studiów w końcu nabrały sensu. Po trzech tygodniach wybrałam historię sztuki jako swój kierunek magisterski. W kolejnym semestrze uczyłam się włoskiego, który był wymagany do ukończenia mojego kierunku. Przed końcem drugiego roku studiów nawiązałam niezbyt gorący, ale stabilny romans z asystentem dydaktycznym na moim kursie włoskiego, Connorem.

Connor był studentem ostatniego roku, pochodził z Nowej Anglii, w jego żyłach płynęła błękitna krew i miał rodzinę we Włoszech. Pewnego razu, późną nocą, po skończeniu igraszek w jego sypialni na najwyższym piętrze domu bractwa, pomagałam mu sprzątać kubki po piwie, a on pomagał mi podjąć decyzję o spędzeniu jednego semestru we Włoszech.

Zapewniał mnie, że to jedyny sposób, abym nauczyła się mówić płynnie po włosku, a dodatkowo mogłabym zrobić sobie tak bardzo potrzebną mi przerwę od ograniczeń małomiasteczkowego Connecticut i wciąż ukończyć studia o czasie. Zasugerował Florencję. Mieszkała tam jego siostra, Sloane, która zrezygnowała ze studiów licencjackich w Vassar College na rzecz emigranckiego życia we Włoszech. Była ode mnie o kilka lat starsza i od wielu lat była związku ze swoim facetem, Giovannim, z którym zaczęła prowadzić interesy, otwierając bar o nazwie No Entry. Connor zapewniał, że przyjmie mnie pod swoje skrzydła. Jego instrukcje były proste:

— Gdy dotrzesz do Florencji, znajdź najbliższą budkę telefoniczną i zadzwoń do Sloane, ona ci wszystko pokaże.

Kartka z jej numerem była schowana w moim paszporcie, kiedy wsiadałam do samolotu linii Alitalia z Nowego Jorku.

• • •

Nagrodą za jet lag jest nowy zestaw współrzędnych, nowy język i miejscowe przysmaki. Włochy nie zawiodły. Jedząc swoje rogaliki, wyglądałam przez okno autobusu jadącego z rzymskiego lotniska do Florencji, patrzyłam na mijane cyprisy, wzgórza i gospodarstwa. To było jak oglądanie po raz pierwszy miejsca, które wydaje ci się znajome od zawsze. Kiedy w końcu pod południowym letnim słońcem dotarliśmy do Florencji, wypadliśmy z autobusu w pobliżu kościoła San Lorenzo. Nie mogłam się doczekać chwili, kiedy odłączę się od grupy dziewczyn z programu wymiany. Jeden transatlantycki lot, a potem dwie godziny podróży autobusem były wystarczające.

W odróżnieniu od nich nie byłam we Włoszech po to, żeby robić zakupy i spędzać czas z koleżankami ze studenckiego stowarzyszenia. Nie miałam w portfelu karty kredytowej rodziców i nie liczyłam na schadzki z włoskimi chłopakami ani na comiesięczne podróże do Paryża. Miałam odłożone przez semestr kieszonkowe i naprawdę chciałam studiować historię sztuki. Było też coś więcej, czego oczekiwałam od mojego trzymiesięcznego pobytu. To była tęsknota, której jeszcze nie potrafiłam nazwać.

Gdy zabrałam swoją sportową torbę z bagażnika autobusu, nasza duża grupa została podzielona i rozwieziona do znajdujących się w pobliżu stacji kolejowej kilku *pensioni* na jedną lub dwie noce, aż wszystkie zostaniemy przydzielone i przewiezione do goszczących nas włoskich rodzin. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłam po przejściu trzech pięter wąską kamienną klatką schodową do swojego trzyosobowego pokoju, było odłożenie torby i ustawienie się w kolejce do skorzystania z telefonu przy głównym wejściu. Zrobiłam to, co wszystkie pozostałe dziewczyny: zadzwoniłam do domu. A właściwie dwóch domów — najpierw do mamy, a potem do taty — z zapewnieniem, że dotarłam bezpiecznie. Potem zadzwoniłam do Sloane.

— Ciao, Tembi! — Jej głos brzmiał tak, jakbyśmy widziały się zaledwie parę wieczorów wcześniej nad *aperitivo*. — Connor opowiadał mi o tobie. Wiedziałam, że zadzwonisz. Gdzie jesteś?

— Jestem w hotelu niedaleko stacji.

Nie powiedziałam „pensione”, bo nie byłam pewna, czy poprawnie wypowiem włoskie słowo.

— Przyjadę po ciebie — powiedziała z przydymioną intonacją Nowej Anglii, na którą nakładał się włoski rytm. Natychmiast zrozumiałam, że jest bardziej europejska, niż ja kiedykolwiek będę. — Zjedźmy razem kolację. I tak dziś wieczorem muszę przyjechać do centrum do pracy. Będę po ciebie o ósmej.

Kiedy się rozłączyłam, było nieco po porze lunchu, na tyle, na ile był w stanie to ocenić mój jet lag. Wystarczająco dużo czasu na drzemkę, potem prysznic i przygotowanie się na moją pierwszą prawdziwą włoską kolację. Kiedy wszystkie pozostałe dziewczyny zaczęły się zbierać i planować zwiedzanie okolic hotelu, być może oglądanie wystaw i zjedzenie czegoś, odrzuciłam propozycję, by do nich dołączyć.

— Moja koleżanka mnie później odbierze — wyjaśniłam. Był to ten rodzaj subtelnej przechwałki, przez które nie zyskuje się nowych przyjaciół.

O dwudziestej czterdzieści pięć Sloane z piskiem opon podjechała przed *pensione* starym niebieskawobiałym fiatem cinquecento. Takie auto widziałam wcześniej tylko w *Walkoniach*, filmie, który oglądałam podczas swoich zajęć z włoskiego kina neorealistycznego. Zaparkowała nim na chodniku, wyskoczyła ze środka i obeszła samochód, żeby mnie objąć. Wyglądało na to, że jesteśmy dawno zaginionymi przyjaciółkami, które marzyły o ponownym spotkaniu. Miała kręcone kasztanowe włosy, opadające na jej opalony dekolt, który pięknie wyglądał, mimo że była bez stanika. Jej uśmiech był tak samo zuchwały i promienny jak jej pastelowa minisukienka w kwiaty od Betsey Johnson. Ale to od jej nieskończenie długich nóg nie mogłam oderwać wzroku. Connor wspominał, że studiowała teatr, i miało to absolutny sens, bo nosiła się tak, jak gdyby właśnie wchodziła na scenę lub z niej schodziła. Stojąc obok niej, czułam się jak troll w swoich dżinsach z GAP-a, koszulce z trójkątnym dekoltem i sznurowanych botkach, w stylu, który wydawał się taki fajny, kiedy przechadzałam się po trawnikach Wesleyan.

— Wskakuj! — powiedziała, kiedy przestała mnie obejmować. Otworzyła drzwi po stronie pasażera i wczółgała się nad drążkiem zmiany biegów

na swoje miejsce za kierownicą. Równocześnie rzuciła swoją skórzaną torebkę z frędzlami na tylne siedzenie, a za chwilę, po namyśle, sięgnęła do tyłu, położyła torebkę na kolanach i wyjęła z niej skręta.

— Chcesz?

— Nie, dzięki. — Wyglądał, jakby już wcześniej zaciągnęła się kilka razy. Były na nim ślady szminki.

— No to później, mamy czas. — Włączyła silnik. — Najpierw spotkamy się z moimi przyjaciółmi niedaleko San Casciano. Zjemy u nich kolację. On jest malarzem, a ona projektuje wystawy sklepowe dla Luisy. Potem pójdziemy razem do baru. — Zaciągnęła się mocno, po czym zgasiła skręta na desce rozdzielczej auta.

— Połóż ją z tyłu — powiedziała, podając mi swoją torebkę. — I to też — dodała, podnosząc z moich kolan mój bordowy płócienny plecak.

Zrobiłam to i ruszyliśmy, letni miejski wiatr wpadał przez otwarte okna samochodu. Wiozła nas przez labirynt istniejących od wieków korytarzy i wąskich brukowanych uliczek oświetlonych bursztynowym światłem latarni. Wystawiłam rękę za okno, a Florencja przemykała między moimi palcami.

Kiedy w końcu dotarliśmy przed dom Massimo, tokańską wilłę gdzieś w pobliżu rodzinnego domu Niccolò Machiavellego, walczyłam z chorobą lokomocijną i stresem.

— Czy ktokolwiek tutaj mówi po angielsku?

— Trochę, ale będę tłumaczyć. Chodź.

Mówiąc to, przekreśliła gałkę niezamkniętych na klucz drzwi frontowych i natychmiast wpadła do domu niczym tornado, które właśnie zetknęło się z ziemią, podążając za dźwiękami jazzowej muzyki i gwarem rozmów, które zdawały się dochodzić z jakiegoś odległego rogu pierwszego piętra.

Szłam tuż za nią, onieśmielona i oszołomiona tym, co widziałam dookoła. Byłam przekonana, że muszę właśnie przechodzić przez plan zdjęciowy dramatu kostiumowego spod szyldu Merchant Ivory. Kamienne podłogi, przepiękne gobeliny, mahoniowe biblioteczki. Sloane spojrzała

za siebie, żeby chwycić moją dłoń, zanim wyszliśmy na zewnętrzny taras, gdzie zobaczyłam co najmniej dziesięć, dwanaście osób zebranych w grupkach po dwie lub trzy. Każda rozmowa wydawała się intymna i teatralna jednocześnie, a wszystkie były prowadzone za kurtyną papierosowego dymu.

Sloane ścisnęła moją dłoń i pochyliła się, żeby szepnąć:

— Załatwię, żeby Massimo pokazał ci swoją kolekcję sztuki, zanim wyjdziemy.

Pociągnęłam nerwowo tył swojej koszulki, naciągając ją na dzinsy poniżej pośladków. Skrępowana, nie byłam w stanie wymyślić odpowiedzi.

— Ma Picassa w swojej sypialni — powiedziała i pociągnęła mnie na środek tarasu. — *Eccola, Tembi! Un'amica americana.* — Potem cmoknęła mnie teatralnie w policzek, obróciła się i zostawiła samą. Czy ludzie właśnie wciągali małeńkie kreski kokainy z rustykalnego stolika kawowego?

Odwróciłam się, żeby dołączyć do niesamowicie światowej i artystycznej grupki skupionej na rozmowie. Byłam na tyle mądra, żeby odmówić kokainy. Nie poprosiłam o pokazanie Picassa. Szczerze mówiąc, nie wiedziałam jak i nie byłam gotowa na to, żeby poprosić dopiero co poznanego mężczyznę o zabranie mnie do jego sypialni. Jednocześnie, nawet przez wywołaną jet lagiem mgłę, zaczęłam dostrzegać siebie taką, jakiej nigdy wcześniej nie znałam. Energetyzujące tętno zawładnęło mną tego wieczoru, a ja w tamtej chwili i miejscu przyrzekałam sobie rozmawiać z otwartymi ramionami to, co nieoczekiwane. Ta nowa „ja” będzie akceptować każdy etap przygody. Otworzyłam się na to, co dobre, i na to, co złe, na wszystko, co może się zdarzyć. Niczym jajko z odkrytym żółtkiem byłam bezbronna, ale radosna. Sloane będzie pokazywała drogę, a ja będę za nią podążać — w granicach rozsądku. Już mi się podobało wrażenie tego nowego kraju na mojej skórze, jego język zakorzenił się w moich ustach. A w trakcie tego wieczoru, gdy męczyłam się ze swoim przedszkolnym włoskim, przestałam się rumienić i nabierałam coraz większej pewności siebie z każdą kolejną rozmową. Mijał pierwszy dzień, a Włochy już sprawały, że czułam się ze sobą swobodnie. Miałam nie wielkie oczekiwania. W końcu, powtarzałam sobie, będę tutaj tylko przez

kilka miesięcy. Rozglądając się po tarasie, nie potrafiłam sobie wyobrazić, że z którejkolwiek z tych osób mogłabym zaprzyjaźnić się na całe życie. Włochy były tylko krótką przygodą, czasem poza czasem. Idealną przerwą.

Rankiem byłam z powrotem w swoim trzyosobowym pokoju w *pensione*, wpatrując się w sufit i poważnie zastanawiając się, czy się nie uszczypnąć. Zapach kawy z pokoju śniadaniowego na dole unosił się w górę kamiennej klatki schodowej. Uwodził mnie brzęk filiżanek uderzających o spodki, łyżek stukających o porcelanę, ustawianych jeden na drugim talerzy, aromat kawy i świeżych wypieków. Przepelniona zachwytem, nie mogłam doczekać się, aż rozpocznę kolejny dzień.

• • •

Dwa miesiące później Sloane znalazła mnie podczas czyszczenia toalety w jej barze No Entry. Bar znajdował się w sercu historycznego centrum Florencji, w pobliżu Piazza Santa Croce i kilka kroków od rzeki Arno. Tak jak zazwyczaj, wpadła po południu i znalazła mnie ze szczotką sedesową w dłoni, podczas gdy boombox odtwarzał nagrane na kasety piosenki Billie Holiday. Do tego czasu moja przyjaciółka stała się też moją szefową, dlatego tu sprzątałam. Mimo że na początku obiecywałam sobie zachować dyscyplinę, w sześć tygodni rozpuściłam kieszonkowe odkładane przez cały semestr. Rozpłynęło się, przybierając formę pasków, torebek, kolacji i weekendowych wycieczek do Rzymu lub na Stromboli. Byłam splukana, ale nie miałam zamiaru prosić rodziców o więcej pieniędzy. W rezultacie zaczęłam na czarno sprzątać toalety w No Entry, przed zajęciami lub po nich.

— Potrzebujemy wódki! — oznajmiła Sloane, wyrzucając do śmieci miskę wczorajszych wiśni maraschino. Wódka w barze prawie się skończyła. W jednej chwili Sloane zdecydowała, że powinnyśmy rzucić wszystko i ruszyć natychmiast do innego baru, MI6. Przyjaźniła się z jego właścicielem i pożyczali sobie wzajemnie zapasy, kiedy komuś zaczynało brakować alkoholu. Bar ten znajdował się tylko kilka przecznic dalej i najprawdopodobniej był w pełni zaopatrzony w wódkę, a do tego miał tam być jej pewny kontakt od skrętów. Obietnica popołudniowego haju

zmieniła jej i tak już szybkie tempo w dużo bardziej energiczne. Szłam jej śladem, starając się nadążyć za krokiem jej długich nóg i pośpiechem wywołanym przez potrzebę zapalenia. Nigdy nie lubiłam narkotyków, ale we Florencji starałam się być otwarta na lżejsze substancje. *Dymek od czasu do czasu ci nie zaszkodzi, Tembi. No dalej, nie bądź takim dziwakiem.* Wyobrażałam sobie, że Sloane próbowała wszystkiego, i o tym właśnie myślałam, kiedy wyszłyśmy za róg Via dell'Acqua i zderzyłam się z mężczyzną.

— *Mi scusi* — wymamrotałam.

Zrządzeniem losu Sloane go знаła. Oczywiście. Ona знаła wszystkich. Przedstawiła go: Saro.

— *Ciao, mi chiamo Tembi. Sì, Tem-biii* — powiedziała swoim najlepszym szkolnym włoskim. Brzmiała nienaturalnie, jakbym nie była pewna, czy wymawiam słowa poprawnie. Ratował mnie mój akcent, który nie był całkowicie żenujący, i fakt, że byłam w stanie wymówić własne imię ze względu na łatwość.

— *Sono Saro. Tu sei americana?* — zapytał z uśmiechem.

Miał na sobie czarną skórzaną bomberkę i białe spodnie. *W październiku.* Kurtka była rozpięta i widziałam, że pod spodem ma białą T-shirt ze słowem „Destiny” wypisanym w poprzek klatki piersiowej dużymi pomarańczowymi pękatymi literami. Wzór na koszulce był mieszkanką graffiti i całkowicie przypadkowych ilustracji, między innymi z rakietą, kawałkiem pizzy, amebą, gitarą, konstelacją i cyfrą 8, rozrzuconych losowo i poprzestawianych do góry nogami, w odcieniach niebieskiego i żółtego koloru. Wyglądało to dla mnie jak rysunkowa wersja czyjejś podświadomości. Miałam nadzieję, że nie jego. „I dlaczego Włosi noszą koszulki z wypisanymi po angielsku losowymi słowami?” Odwróciłam się, ale wcześniej zauważyłam jego buty. Były czarne i sięgały do kostki. Natychmiast przyszły mi na myśl elfy.

Spojrzałam na niego i uśmiechnęłam się.

— *Sì, sto studiando la storia dell'arte.*

Bum! Wyczerpałam cały swój włoski. Pozwoliłam więc, żeby Sloane dalej prowadziła rozmowę beze mnie. Staliśmy przed lodziarnią Vivoli,

która, jak mi mówiono, robiła najlepsze *gelato* w całej Toskanii. Odwróciłam się od Sloane i Saro, żeby lepiej się przyjrzeć tłumowi przelewającym się do środka i na zewnątrz. Gdy obróciłam się z powrotem, naprawdę zobaczyłam Saro, jego całego. Nawet niewidomy by zauważył, że jest przystojny. Ale sposób, w jaki zatrzymywał na mnie wzrok, nagle mi uświadomił, że wołałabym mieć na sobie lepszy stanik. Jego spojrzenie było zmysłowe i skupione. Pod nim stawałam się świadoma każdego swojego wdechu i wydechu. Sprawilo, że zwróciłam uwagę na linię jego brwi i długość jego rzęs. Musiałam się skoncentrować, żeby słyszeć ich rozmowę. Zaczęłam wyłapywać z wymiany zdań między nim a Sloane, że wraca z pracy w Acqua al 2, renomowanej restauracji popularnej wśród miejscowych i turystów, mieszczącej się niecałą przecnicę dalej. Pracował jako szef kuchni. Był seksownym, czarnowłosym, brązowookim facetem z piękną oliwkową cerą w kraju pełnym przystojnych, czarnowłosych, brązowookich mężczyzn o oliwkowej skórze. Ale ten jeden mężczyzna wywołał w moim ciele zamęt.

Przez kilka kolejnych tygodni postawił sobie za cel obecność każdego wieczoru po skończeniu pracy w No Entry, gdzie gawędziliśmy przez dwadzieścia minut. Za każdym razem ponownie się przedstawiał, co uważałam za czarujące. Dowiedziałam się, że urodził się na Sycylii w rolniczej rodzinie i przez krótki czas mieszkał w Buffalo w stanie Nowy Jork, kiedy jego rodzina przeniosła się tam, gdy był nastolatkiem. Stany Zjednoczone nie przypadły im do gustu. Wrócili na Sycylię, a on w ciągu roku wyjechał z domu, żeby studiować tłumaczenia na Uniwersytecie Florenckim, a tym samym przerwał rodzinną tradycję prowadzenia gospodarstwa sięgającą całe stulecie wstecz. Po dwóch latach na uniwersytecie zrezygnował ze studiów i odnalazł swoją drogę jako uczeń szefa kuchni. Rozmawialiśmy na tyle dużo, bym wiedziała, że jest troskliwy, uprzejmy i zaangażowany. Często, kiedy kończyliśmy rozmowę, mówił:

— Pozwól mi zabrać się na kolację.

Za każdym razem odpowiadałam mu wymijająco:

— Pewnie, może, kiedyś, jasne.

Saro, z całym swoim luzem, otwartością i atrakcyjnością, nie był typem faceta, z którym bym się spotykała — w Stanach czy we Włoszech. Wydawał się zdecydowanie zbyt dostępny, o wiele za miły. Dla mnie atrakcyjny oznaczał tyle co wyniosły, unikający zobowiązań i zdecydowanie trudny do zdobycia. Po wielu krótkich przygodach na kampusie, z których nic nie wynikało, nie szukałam niczego na poważnie. Musiałam skupić się na nauce, nie na mężczyznach. Ale łatwiej było powiedzieć, niż zrobić.

Tak właściwie pierwszy raz spiknęłam się z facetem we Włoszech na wyspie Stromboli u wybrzeży Sycylii. Jak mogłam być tak głupia, żeby znaleźć sobie faceta na jedną noc poza sezonem na maleńkiej wyspie, skąd jedyny prom odpływał raz na pięć dni? Nie była to moja godzina chwały. Spędziłam cztery dni, ukrywając się przed miejscowymi i moim nowym *amico*, Rocco, który chciał jeszcze raz pokazać mi lokalne *vulcano*. W Teksasie mieli różne określenia na dziewczyny takie jak ja. A „głupia” nie było jednym z nich. Kolejnego faceta, z którym się spotykałam, nazywałam „Il Diavolo”. Był zachwycającą mieszańką wszystkich stereotypów na temat Włochów — seksowny, troskliwy, uczulony na monogamię. Pracował na budowie, odrestaurowując *palazzi* z piętnastego wieku w historycznym centrum Florencji. Był arogancki, wyniosły, mistrz sprzecznych sygnałów, a przy tym nie znał ani jednego słowa po angielsku. Ale znów, nie spotykałam się z nim dla konwersacji. Wszystko trwało kilka tygodni, nie więcej. Kiedy ze mną skończył, wyglądałam, jakbym przeszła kilkanaście kilometrów kiepską drogą, boso i podczas wichury. To było skazane na niepowodzenie, a ja o tym wiedziałam, ale za każdym razem, kiedy go spotykałam, jakimś cudem lądowałam u niego. Był moim kryptonitem na kawałku pizzy, mojej osobistej słabości.

Nie zamierzałam umawiać się z tym szefem kuchni ubranym w bombarkę. Pomimo tego, że za każdym razem, kiedy go widziałam, coś we mnie iskrzyło. Staralam się pozostawić jego imię zapisane w kolumnie „przyjaciele — żadnego seksu”, aż pewnego wieczoru już nie byłam w stanie.

• • •

David Bowie śpiewał *Rebel Rebel*, kiedy przeciskałam się od strony baru przez tłum florenckich artystów, europejskich doktorantów i nowo przybyłych imigrantów z północnej Afryki, którzy zjawili się tego wieczoru w No Entry. W powietrzu wisiał wydychany dym z palonego haszu i skrętów, przez co czułam się, jakbym występowała w remake'u *Scared Straight!*. Oczy mnie piekły, a ubrania śmierdziały. Kiedy dotarłam na swoje miejsce, wróciłam do sączenia swojej trzeciej whisky sour, sama, i zaśpiewałam *Rebel rebel, you've torn your dress. Rebel rebel, your face is a mess* do nikogo konkretnego. Potem poczułam na ramieniu klepnięcie.

— Chodź na zewnątrz, mam coś dla ciebie.

Odwrociłam się od swojego drinka i zobaczyłam stojącego za mną Saro. Światło neonu wykrzykującego nazwę baru nadało jego czarnym jak smoła włosom szkarłatną poświatę. *Wow, może powinnam była poprzestać na dwóch drinkach.*

— Która godzina? — zapytałam.

— Pierwsza — odpowiedział. Jego skóra lśniła. Miałam ochotę wyciągnąć rękę i jej dotknąć. Zamiast tego spojrzałam w dół. Wciąż miał na sobie kraciaste spodnie szefa kuchni i znów te osobliwe buty.

— Właściwie to muszę się już zbierać. Mam rano zajęcia w Uffizi.

Dopiłam resztę drinka i wstałam. Tym razem zachwiałam się na nogach. Przyszło mi do głowy, że muszę wyglądać jak podręcznikowy stereotyp amerykańskiej dziewczyny we Florencji — kompulsywnie robiącej zakupy, zaprawionej chianti i zmieniającej jednego włoskiego przystojniaka na kolejnego, wszystko pod przykrywką studiowania renesansu. Gdzieś w głębi przyznawałam, że nie tak miało to wyglądać. Nie przyjechałam do Florencji, żeby wędrować nocami po barach, a w ciągu dnia studiować na kacu. Miałam szczęście, że przeżywałam prawdziwy europejski sen o kulturze, sztuce i ideach, ale dostrzegałam to wszystko przez opary taniej whisky z Tennessee. Poczułam, że zaczyna mnie boleć głowa. Potem zrobiłam krok w stronę wyjścia, potknęłam się i musiałam chwycić się ramion Saro. Zauważyłam, że jego policzki są zarumienione i jest nieco zdyszany.

— Proszę, siadaj. Ja wychodzę. Możesz zająć moje miejsce. — Jestem wyjątkowo uprzejma, kiedy się wstawię.

— Nie trzeba — powiedział, zaczynając rozpinąć kurtkę. Jego szyja była zaczerwieniona. Po raz pierwszy zobaczyłam kępkę włosów na jego dekolcie. Zaczęłam się zastanawiać, jak wygląda jego klatka piersiowa. — Właśnie przybiegłem tu w nadziei, że jeszcze nie wyszłaś.

Czy on powiedział „w nadziei”? Angielski nigdy nie brzmiał tak poetycko. Bez namysłu ucałowałam go w oba policzki, tak jak zawsze witałam się i żegnałam we Włoszech. Ale zachwiałam się i przy okazji oparłam na jego ramieniu o chwilę za długo. Pachniał węglem drzewnym, oliwą z oliwek i czosnkiem. Wciągnęłam głęboko powietrze. To połączenie było surowe i zniewalające. Chwilę zajęło mi dojście do siebie.

— Chodź na zewnątrz, na chwilę. Chcę ci zrobić niespodziankę.

Angielski zawsze powinien tak brzmieć. Pozwoliłam, żeby wziął mnie za rękę.

Szedł przodem, a podmuch zimowego powietrza, który przywitał mnie po drugiej stronie drzwi, natychmiast mnie otrzeźwił. Zamrugalam, żeby osłonić oczy od wiatru. Nagle wszystko wydało się ostre i wyraźne. Cienie wydłużały się pod bursztynowym światłem latarni. A tam, tuż za drzwiami, oparty o masywny kamienny mur stał rower. Był intensywnie czerwony, miał kosz i dzwonek.

— Dla ciebie. Mówiłaś, że potrzebujesz roweru, żeby podróżować po mieście. Lepszy od autobusu, *no?* — Mówiąc to, wręczył mi klucz do ogromnej kłódki. — Tylko to udało mi się znaleźć w tak krótkim czasie.

Ze zdumienia otworzyłam usta.

— Nie, nie mogę go przyjąć.

Ale chciałam to zrobić tak bardzo, że musiałam powstrzymać się przed wrzuceniem tam na chodniku i obudzeniem wszystkich okolicznych mieszkańców. Jeszcze nigdy nie zdarzyło się, żeby jakikolwiek mężczyzna usłyszał mimochodem, czego potrzebuję, a potem okazał to po kilku dniach. Wtedy jednak wkradła się inna myśl: *Nic nie jest za darmo.*

— Zapłacę ci za niego.

Sięgnęłam do swojej podwójnie przesywanej torebki, kupionej za małą fortunę w pierwszym tygodniu pobytu we Florencji. Uwielbiałam chodzić z nią po mieście, nawet jeśli była w stanie pomieścić tylko szcztokę do włosów, kopię mojego paszportu, jedną szminkę i pogniecione opakowanie po czekoladkach Baci Perugina z cytatem z Oskara Wilde’a: „Kochać samego siebie to początek romansu na całe życie”.

— Obrazilbym się, gdybyś mi zapłaciła. Ten rower to prezent. Proszę, zabierz go do domu.

Jeśli nie zapłacisz mu teraz, będziesz płaciła mu za to później. Cholera.

— Proszę, pozwól mi zapłacić cokolwiek. Tak zrobiłaby Amerykanka. Pieniądze nie rosną na drzewie. — Nie rozumiał, co mam na myśli. — Może dam ci trzydzieści tysięcy lirów?

Czyli wszystko, co miałam w portfelu. Nawet pijana wiedziałam, że to tylko około osiemnastu dolarów przy najlepszym kursie walut. Moja propozycja była nędzna i obraźliwa, ale nie obchodziło mnie to. Uznałam, że za osiemnaście dolarów mogę mieć spokój ducha *oraz* nowiutki rower. Potem, ogarnięta jakimś nagłym atakiem wzniosłych zasad, w stylu tych, które wpajała mi babcia we wschodnim Teksasie, dodałam z naciskiem:

— Inaczej go nie wezmę.

— *Va bene* — powiedział ze swobodą, z jaką Włosi zgadzają się i odpierają argument na jednym wydechu. — Ale chociaż pozwól mi odprowadzić się do domu. Jest późno. Mam swoją vespę, mogę jechać obok ciebie, żeby mieć pewność, że jesteś bezpieczna.

Czułam, jak buzuje w środku, zarumieniona od alkoholu i ekscytacji. Gdy próbowałam wsiąść na rower, moja nogawka zaczęła o pedał. Nie mogłam odmówić. Tak mi podpowiedział przypływ adrenaliny i alkoholu.

— Mieszkasz z rodziną w pobliżu stadionu, *no*? — Ten facet naprawdę uważnie słuchał podczas naszych pogawędek.

Tej nocy jechaliśmy ulicami Florencji w zgodnym milczeniu. Mijaliśmy Dawida Michała Anioła oraz *Judytę i Holofernesa* Donatella, a cienie tańczyły na twarzy Saro. Nocna przejażdżka przez centrum Florencji we mgle, z włoskim szefem kuchni u mojego boku. Nie oczekiwałam aż tyle od

swojego semestru za granicą. Ale może gdzieś w głębi miałam nadzieję. Chciałam się uszczypnąć. Ale nie musiałam. To było zbyt dobre, żeby mogło być prawdziwe. Saro był zbyt dobry, żeby mógł być prawdziwy. Ten obłoczek włoskiego romansu za chwilę się rozwieje. Wiedziałam, że tak będzie. Nie ufałam temu, co przychodziło łatwo. Na pewno nie ufałam miłości ani sobie w miłości.

Kiedy skręciliśmy w Viale Alessandro Volta, aleję, która prowadziła do domu goszczącej mnie rodziny, poczułam strach. Zakochałam się.

— Pojadę już dalej sama. Dzięki za rower. Do zobaczenia — powiedziałam i odjechałam tak szybko, jak tylko dawały radę pedałowac moje zmęczone nogi. Nawet nie pomachałam ręką na pożegnanie. Nie odważyłam się obejrzeć za siebie, by jeszcze raz spojrzeć na Saro. Potrafiłam spieprzyć coś dobrego nawet w najbardziej romantycznym mieście na ziemi.

• • •

Przez kolejny miesiąc wychodziłam z No Entry znacznie wcześniej, niż była zamykana jego restauracja, i w ten sposób unikałam ponownego przeżywania niezręczności, którą stworzyłam między nami tamtej nocy z rowerem. Opuściłam też już kurtynę po trzecim i ostatnim akcie mojego dramatu operowego z kamieniarzem Il Diavolo w roli głównej. Rzucił mnie dla innej amerykańskiej dziewczyny, z długimi czarnymi włosami i kartą kredytową ojca. Napisałam pracę semestralną na temat artystycznego rozłamu między Medyceuszami a papieżem Leonem X i przeniosłam się do własnego mieszkania z dwiema innymi kobietami — jedną Amerykanką i jedną Kanadyjką — oraz jednym bardzo uszczypliwym włoskim DJ-em, który sypiał z Kanadyjką. Przez cały ten czas czułam się podekscytowana, pochłonięta, oczarowana, ale nieco rozdrażniona swoim nowym życiem we Florencji.

• • •

W drugim tygodniu nowego roku, w jasny zimowy dzień, znowu wpadłam na ulicy na Saro. Kiedy zobaczyłam jego twarz, rozbłysło we mnie światło. W końcu pogodziłam się z faktem, że nie mogę podchodzić do miłości

z pozycji obronnej — z góry mówiąc sobie, czego nigdy nie zrobię, jakich zasad powinnam przestrzegać. Nic z tego nie zadziało. Przypuszczałam, że muszę być otwarta, tak spontaniczna i odważna i polegać na własnej intuicji jak tamta kobieta, która podjęła decyzję, żeby przyjechać do Włoch. Coś w środku mówiło mi: „Jesteś w najbardziej romantycznym miejscu na świecie, jeśli nie teraz, to kiedy? Daj szansę miłości”. Bez chwili wahania zarzuciłam mu ramiona na szyję, w amerykańskim stylu, i zapytałam:

— Masz ochotę gdzieś ze mną wyjść?

Jego twarz była pełna ciepła i otwartości. Po raz pierwszy zauważyłam nieznacznie uniesiony kącik jego ust. Ukrywał się w zasięgu mojego wzroku.

— Sì, jasne, jutro mam wolne — powiedział to całkowicie naturalnie. — Mój przyjaciel montuje film niedaleko duomo. Ty też lubisz filmy i aktorstwo, *no*? Chcesz zajrzeć do montażowni, a potem zjeść lunch?

Czy wspominałam, że moim marzeniem było zostać kiedyś aktorką?

— Tak, chętnie. Aktorstwo jest też częścią moich studiów w Stanach.

— Spotkamy się jutro rano na Piazza del Duomo. O jedenastej?

Mówiąc to, puścił hamulec swojej vespy, a ja stałam całkowicie nieruchomo, patrząc, jak jego sylwetka znika w tłumie, kiedy przejeżdżał przez Ponte Vecchio.

Następnego dnia we Florencji po raz pierwszy od kilkunastu lat spadł śnieg. Zaparkowałam swój wypolerowany na błysk krwistoczerwony rower na skraju Piazza del Duomo, wyjęłam plecak z wiklinowego koszyka i ruszyłam w kierunku stopni katedry. Tamtego ranka Florencja była pełna zdumienia i pośpiechu. Dzieci, oczarowane dużymi mokrymi płatkami śniegu, wystawiały do nieba języki, a ich rodzice dryfowali do kawiarni i z kawiarni, narzekając z niedowierzaniem na śnieg. Florentyńczycy zakładali kaski, by chronić się przed delikatnymi podmuchami, a ich skutery odciskały ślady na brukowanych ulicach. Nawet kierowcy autobusów zostawiali pasażerom więcej czasu, aby mogli wsiąść i wysiąść, a wszyscy uliczni sprzedawcy się poukrywali.

Ustawiałam się na stopniach duomo, przed potężnymi brązowymi drzwiami Ghibertiego, i czekałam na Saro. Za moimi plecami płaskorzeźby postaci ze Starego Testamentu wydawały się jeszcze bardziej stoickie i nieprzemijające, gdy śnieg osiadał na ich zastygłych w bezruchu sylwetkach. Potem obserwowałam, jak śnieg wciąż pada i topnieje, lądując na moich zdartych botkach, i odczuwałam chłód marmurowych stopni przenikający podeszwy moich stóp. Miałam wrażenie, że jestem bosa. Zegar wybił jedenastą. Moja randka się opóźniała.

Do jedenastej piętnaście moja czapka i płaszcz były przemoczone. Oczywiście, że potraktowałam godzinę naszego spotkania dosłownie. Czy Włochy niczego mnie nie nauczyły? Punktualność była tylko względnie ważna, czas zawsze był w przybliżeniu. Sięgnęłam do torebki, żeby sprawdzić, czy mam coś do jedzenia. Spojrzałam na drugą stronę placu, na ludzi siedzących w lokalach, sączących cappuccino i popijających espresso. Zaczęłam się zastanawiać, czy ta randka skończy się tak, jak dalekie od ideału romanse, które nawiązywałam od przybycia do Włoch przed kilkoma miesiącami. Sama ta myśl sprawiła, że zapragnęłam wsiąść na rower i wrócić do swojego nowego małego mieszkania na Piazza del Carmine.

Dwadzieścia minut to więcej niż nawet ja mogłam wytrzymać na mrozie — w scenerii jak z pocztówki czy nie. Tego dnia nie miałam zajęć, ale miałam za to odrobinę zdrowego rozsądku. Ostatnim, czego potrzebowałam, było zapalenie płuc złapane podczas czekania na kogoś, kto najwyraźniej nie zamierzał się zjawić. Owinęłam się więc mocniej płaszczem i spróbowałam pilnie sobie przypomnieć, gdzie zapodziałam rękawiczki, które babcia przysłała mi ze wschodniego Teksasu. Przysunęłam opuszki palców do ust i mocno chuchnęłam, żeby je rozgrzać. Potem zeszłam po schodach duomo, przeskakując co drugi stopień, w drodze do swojego roweru. *Jaki facet daje ci rower, a potem wystawia cię na pierwszej randce?*

Mrugając, by pozbyć się śniegu z oczu, i zastanawiając się, co u licha mogło się zdarzyć, pedało wałam na drugą stronę Arno w drodze do swojego mieszkania.

Godzinę później wyrzalam przez okno swojego lokum na ostatnim piętrze przy Piazza del Carmine. Było za późno na śniadanie, nie miałyśmy w mieszkaniu jedzenia nadającego się na inne posiłki, a ja za bardzo się martwiłam, żeby wyjść na lunch. Chciałam poczekać, aż zadzwoni Saro. Wiedziałam, że to się stanie. Dałabym za to głowę, czułam, że go znam. No cóż, tak naprawdę go nie *znałam*, ale znałam za to jego serce. Na pewno musiało stać się coś poważnego, żeby mnie wystawił.

Wtedy usłyszałam dzwonek telefonu. Ślizgając się, ruszyłam po marmurowej posadzce z zawrotną prędkością, by jako pierwsza chwycić słuchawkę wspólnego telefonu, który wisiał na filarze pośrodku salonu.

— *Mi dispiace*. Wybacz. Przepraszam. — Głos Saro był przyspieszony, nerwowy.

— Co się stało?

Cisza.

— Zasnęłam.

A potem jak z karabinu maszynowego:

— Wczoraj do restauracji przyszedł Robert Plant. Przygotowałam kolację dla niego i zespołu po ich występie. Wyszli dopiero o drugiej w nocy. Wróciłem do domu o trzeciej. Przepraszam. Czy zechciałabyś znów spotkać się ze mną w centrum? Wciąż możemy zjeść lunch, *no*?

— Mam zajęcia za półtorej godziny. Chyba nie — skłamałam. Nie byłam do końca pewna dlaczego, poza tym, że myśl o ponownym wyjściu na mróz nie była zachęcająca. Może chciałam, żeby przyszedł do mnie.

— Odprowadzę cię na zajęcia, a potem na ciebie zaczekam.

— Nie trzeba. — Pożałowałam teraz swojego wcześniejszego kłamstwa. Czy nie odegrałam już przed tym facetem wystarczająco trudnej do zdobycia?

— W takim razie przyjdź dzisiaj wieczorem do restauracji. Przygotuję dla ciebie kolację. — Zanim zdążyłam odpowiedzieć, usłyszałam jego głos pełen szczerości. — Proszę, przyjdź. Zaproś kogoś, jeśli chcesz. To będzie dla mnie przyjemność. — Zrobił pauzę. — Myślę, że mogłoby być między nami coś wspaniałego.

Nikt nigdy nie powiedział do mnie nic podobnego. Te dwa słowa, „coś wspaniałego”, przeszły mnie niczym błyskawica. Wyczarował wizję „nas” i wspaniałości z taką łatwością, że nagle wydało mi się to absolutnie właściwe. Byłam zaskoczona jego tupetem i pewnością. Zapraszał mnie do wizji mojej własnej przyszłości, której pragnęłam, do tej chwili nawet o tym nie wiedząc. Ale gdy te słowa do mnie dotarły, zrozumiałam, że nie ma odwrotu. Oczywiście, tak, chciałam czegoś wspaniałego i może z nim mogłabym to mieć.

— *Va bene* — powiedziałam, po cichu podekscytowana, że być może przeznaczona mi wspaniałość zacznie się po prostu od dobrego posiłku.

• • •

Acqua al 2 była tego wieczoru pełna, ludzie tłoczyli się przed wejściem na mrozie, nie tracąc nadziei na stolik. Czekałam na skraju tłumu, rozglądając się za dwiema koleżankami z wymiany, Caroline i Lindsey. Skorzystałam z propozycji Saro i je zaprosiłam, trochę dlatego, że nie chciałam jeść sama, a trochę dlatego, że byłam ciekawa zdania Caroline i Lindsey na temat Saro.

Lindsey, tyczkowata zawodniczka drużyny lacrosse’a z Mount Holyoke, z burzą drobnych rudych loczków, które nazywała „irlandzkim afro”, zjawiała się jako pierwsza.

— *Que pasa, chica?* — jej włoski był nierówny i dokuczliwie się w nim zacięła, dlatego radziła sobie, mówiąc w swoim drugim domyślnym języku obcym, hiszpańskim. Był równie zniekształcony i beznadziejnie zangieliszczony, ale wyglądała na pocieszoną faktem, że przynajmniej mówi w języku obcym. — Caroline pewnie się spóźni, idzie z przeciwnej strony ogrodów Boboli. Sama wiesz, że boi się jeździć autobusem po zmroku.

Oczywiście, jak mogłam zapomnieć? Caroline była pobożną metodystką z Południa, modlącą się za każdym razem, gdy przekraczała próg włoskiego środka komunikacji publicznej. Prawie zaczęła mówić językami podczas trzygodzinnej podróży motorówką, którą musiałyśmy odbyć, żeby dostać się z głównego lądu na Stromboli. Jasne, że się spóźni.

— Chodźmy! — powiedziałam, odwracając się w stronę blasku bijącego z wnętrza restauracji.

Kiedy znalazłyśmy się w wąskim wejściu, ruszyłam w kierunku kierowniczk sali. Saro mówił, żebym o nią pytała, o Lucię.

— *Mi scusi.*

Podniosła głowę, spojrzała na mnie i zerwała się ze swojego miejsca na końcu baru z deserami. Jej uśmiech przypominał wyraz pyszczka kota, który właśnie zjadł kanarka.

— *Sei la Tembi, no? Vieni. Chodź.*

Potem chwyciła moją twarz w dłonie i ucałowała mnie w oba policzki. Najwyraźniej nie musiałam się przedstawiać. W mgnieniu oka złapała mnie za rękę i poprowadziła na środek sali. Lindsey przeciskała się za mną.

Lucia szła przodem w obcisłych džinsach Levi's 501, opalona tleniona blondynka o rzymskich rysach, przydymionym głose i zaraźliwym śmiechu. Jako właścicielka i kierowniczka sali zarządzała wejściem do Acqua al 2 w taki sposób, w jaki śpiewaczka operowa rządzi środkiem sceny. Ściskając mocno moją dłoń, zaprowadziła mnie na środek sali jadalnej i oznajmiła głośno:

— *È lei! To ona!*

Potem błyskawicznie się obróciła, znów chwyciła moją twarz i powiedziała:

— Saro robi dla ciebie stolik. Rozumiesz mój angielski, *no?* Idę po wino z piwnicy, *la cantina.*

Wskazała na wąskie brukowane schodki na końcu sali i szybko dała mi kolejnego całusa. Zniknęła natychmiast, zostawiając mnie na środku restauracji. Czułam się znów jak w willi tamtego pierwszego wieczoru we Florencji. Znalazłam się na środku sceny, nie mając pojęcia, co robić.

Stojąc tam, w głównej sali, zrozumiałam, dlaczego obcokrajowcy przybywają tłumnie do Acqua al 2. Jej degustacyjne menu i niezaprzeczalna włoska gościnność były tylko początkiem. Łoże otaczały nastrojowo oświetloną świecami salę, wypełnioną wspólnymi stołami z grubego drewna. To było miejsce, w którym wschodzące gwiazdy włoskiego kina, muzycy

indie, lewicowi politycy i weterani sceny jedli ramię w ramię z turystami. Goście rozmawiali nad apetycznymi półmiskami, a butelki wina — Montepulciano i Chianti Classico, luksusowego Tignanello i smukłe z jasnym, musującym Moscato — pojawiały się i znikwały w błyskawicznym tempie. Sceneria była jednocześnie biesiadna, pijacka i czysto teatralna. Znak rozpoznawczy Acqua al 2, papierowe podkładki leżące na każdym ze stołów, zostały zaprojektowane przez znanego rysownika. Widniała na nich ilustracja kelnera serwującego talerz parującego makaronu zakochanym, siedzącym na przodzie barokowej sceny teatralnej. Napis nad kurtyną głosił: „Miłość zrodzona w teatrze będzie trwała wiecznie”. To miejsce tworzyło ponad sto metrów kwadratowych florenckiego uroku, upchniętego na ozdobionych freskami ścianach, sklepionych sufitach i piętnastowiecznych łukach.

Ze swojego miejsca pośrodku sceny widziałam Saro, który poruszał się niczym czarodziej za zasłoną ze skwierczącego żaru, dyrygował hałaśliwym brzękiem garnków; wyznaczał tempo i tworzył magię na talerzach w spiekocie wąskiej kuchni Acqua al 2. Na pierwszy rzut oka kuchnia wyglądała niczym jaskinia Aladyna. Był tam Saro w białym T-shircie, długim do ziemi fartuchu, białych chodakach i czerwonej bandanie, a w tle z boomboxa James Brown wywrzaskiwał *This is a man's world*. Saro zauważył mnie, uśmiechnął się i dał znać, że później przyjdzie się przywitać.

— Wydaje mi się, że z nim spała. — Caroline w końcu dotarła i kilka chwil później, kiedy usiadłyśmy przy naszym stoliku w rogu dolnej sali, Lindsey wprowadzała ją w temat.

— To nie nasza sprawa.

Ale wiedziałam, że zdaniem Caroline Saro był całkowicie jej sprawą. Była południową pięknoscią z Southern Methodist University, która każdego dnia pisała listy do swojej licealnej miłości i ubierała się w drobną kratkę dla czystej frajdy. Wszystko wskazywało na to, że uważała mnie za nienasyconą mężczyznami ładacznice, która jeszcze nie odnalazła Chrystusa. Byłam pewna, że modliła się za moje zbawienie od chwili, gdy wyładowałyśmy na Stromboli, a Rocco położył mnie na piasku wulkanicznym.

Ale podejrzewałam też, że była typem dziewczyny, która potrafi wypatrzyć „materiał na chłopaka” z odległości kilometra. Z uwagi na moje osiągnięcia we Florencji poznanie jej opinii było warte znoszenia przywołań Naszego Pana i Zbawiciela w nawet najbardziej przyziemnych rozmowach.

— Nie spałam z nim — upierałam się. Nie wyglądały na przekonane.

— Dostaniemy menu? — zapytała Lindsey, widząc kelnera niosącego kilka półmisek na pobliski stół.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, przy naszym stoliku stanęła Lucia, otwierając butelkę białego wina.

— *Cominciate col vino bianco.*

Gdy tylko nalała nam wina, już jej znów nie było. Kiedy pojawiła się ponownie, niosła jeden półmisek z czymś, co wyglądało jak zielone risotto. Zanim mój wzrok przetworzył to, na co patrzyłam, poczułam aromat. Zapach był ziemisty, kremowy i drzewny, z nutą mięty.

— *Risotto con sugo verde* jako pierwsze. Saro chce, by zrobić próbki menu. *Tutto menu.* Wszystkiego. — Podobало mi się, jak Lucia powtarzała wyrazy, żeby coś podkreślić. Półmisek wylądował na stole i lekko podskoczył. — To jest pierwsze. *Buon appetito.* — Po tych słowach rozplynęła się niczym restauracyjny czarodziej w kamiennej ścianie. Czar został rzucony, a ja nawet jeszcze nie spróbowałam pierwszego kęsa.

Podniosłam widelec do ust i zagłębiłam się w czymś, co można nazwać wyłącznie epikurejskim rajem na talerzu. Nic, co znałam ze swojego ryżowego repertuaru, nie mogło mnie na to przygotować. Każde ziarenko było miękkie, ale jędrne w środku, rozplywało się delikatnie w ustach, a pod językiem było jak tłoczony aksamit.

— Okej, to jest naprawdę dobre. — Lindsey odezwała się pierwsza z pełnymi ustami. — Mówiłaś, że skąd znasz tego faceta?

— Jest moim złodziejem rowerów, nie pamiętasz?

To było przezwisko, które nadałam Saro w hołdzie mojemu ulubionemu filmowi włoskiego neorealizmu. Było to też odniesienie do florenckiego czarnorynkowego handlu rowerami. Dowiedziałam się, że mój lśniący czerwony rower z koszykiem i dzwonkiem — prezent, który

wszystko zmienił w mojej przyjaźni z Saro — tak naprawdę był najprawdopodobniej kradziony. Saro kupił go za bezcen, tak jak wszyscy kupowali rowery we Florencji. Ostrzegł mnie, żebym zakładała na niego blokadę. Powiedział też, że jeśli zginie, przeszuka całe miasto, żeby go odnaleźć. A wtedy znowu go kupi.

— Uważam, że naprawdę powinnaś pomyśleć o spędzeniu czasu z tym mężczyzną, nawet jeśli ukradł rower — powiedziała Caroline, wpatrując się w półmisek, zanim zgarnęła z niego ostatnie ziarenka risotto.

— Nie ukradł roweru! On go *kupił*!

— Skąd wiesz? — zapytała Lindsey, puszczając oko. Zawsze sugerowała, że Włosi mają skłonność do ryzyka. Sam ten pomysł ją ekscytował.

— Bo mi tak powiedział.

Nie ukrywałam irytacji zbyt dobrze, bo byłam teraz skupiona na Caroline zjadającej ostatnią kremową grudkę risotto. Kiedy skończyła, obliżała usta w sposób, który wyrażał satysfakcję i, ośmielię się to powiedzieć, był wyraźnie erotyczny. Nieznacznie przymknęła swoje niebieskie oczy i wymruczała wyraźne „mmmmm” Wyglądała jak uczestniczący w odnowie religijnej grzesznik, który właśnie został zbawiony przez nałożenie rąk. Było oczywiste, że risotto przygotowane przez Saro jest dla niej kulinarnym odpowiednikiem spotkania z Jezusem. Po zjedzeniu go jaśniała blaskiem niczym świeżo nawrócona. Trochę się spodziewałam, że za chwilę zawoła „alleluja”.

— Czy wypada poprosić o więcej? — zapytała nieśmiało.

— Może poprosisz Lucię, żeby przygotowała dla ciebie twój własny talerz?

Dla mnie ostatnie kęsy są najważniejsze. Dzielenie z nią risotta Saro nagle wywołało we mnie zazdrość. Pożerała ten ostatni kęs wyśmienitego dzieła mojego być może przyszłego chłopaka-szefa kuchni bez najmniejszego aktu skruchy.

Lucia wracała raz za razem, z kopyastymi porcjami *strozzapreti* z duszoną czerwoną cykorią w sosie mascarpone; fusilli w sosie z grillowanej czerwonej papryki; gnocchi z gorgonzolą, sosem z białego martini i plasterkami

dojrzewającego parmezanu. Zaczęłam dostrzegać, że Saro mówi wprost do mnie, każde danie było jak jadalna litera miłości: soczysta i zuchwała. Po trzecim i czwartym daniu zrozumiałam, że ten szef kuchni, który nosi elfie buty, kocha się ze mną, a nawet się dotąd nie całowaliśmy.

Pod koniec kolacji byłam zachwycona, nasycona, skołowana, oszłamiona myślą o tym, że Saro może być materiałem na chłopaka. Przez chwilę zastanowiłam się, czy nie zapalić papierosa, chociaż nigdy w życiu nie paliłam.

Caroline i Lindsey zebrały się do wyjścia około dwudziestej trzeciej. Lucia zamówiła im taksówkę, bo Caroline nie była w stanie przejść całej drogi do domu, a Lindsey, cóż, była wstawiona po trzech kieliszkach wina deserowego. Wychodząc z Acqua al 2, postawiła sobie za cel pożegnać się ze wszystkimi w restauracji, entuzjastycznie machając.

— *Adiós, muchachas*. Kocham tiramisu — dodała, prawie się potykając u dołu schodów. — Wróć tu, amigos. — A potem ona i Caroline uciekły w noc, zostawiając mnie samą w dolnej sali.

Po kilku chwilach Lucia usiadła obok mnie z kolejną butelką *vin santo* i ze swoim kocim uśmiechem. Wiedziałam, że coś się szykuje.

— *Sei americana, no?* — Florentyńczycy zawsze podejrzewali, że mogą pochodzić z Brazylii lub Etiopii. Czasami wydawali się zawiedzeni, gdy mówiłam, że jestem tylko czarną dziewczyną z przedmieść w Teksasie. Nie tym razem.

— Teksas! Kowboje! Dallas! — powiedziała Lucia. Szybko zdałam sobie sprawę, że nie ma na myśli miasta, chodziło jej o serial telewizyjny z lat osiemdziesiątych, w którym pojawiała się postać JR. Wciąż był nadawany we Włoszech. — Kocham JR i *Beautiful*.

Miała na myśli, o czym już wiedziałam, operę mydlaną *Moda na sukces*. Nigdy jej nie oglądałam, ale najwyraźniej większość Włochów owszem i często pytali, kto się z kim spotyka w serialu. Przez chwilę myślałam więc, że będę przepytywana z podstaw popkultury amerykańskiej. Ale wtedy Lucia przysunęła się do mnie bardzo blisko i zapytała:

— Lubisz Saro, *no?* — To było bardziej stwierdzenie niż pytanie.

— *Sì, mi piace Saro* — powiedziała swoim najlepszym formalnym włoskim. Nie przekonało jej to.

Nachyliła się bliżej. Widziałam konturówkę na jej ustach i czułam zapach marlboro.

— *Sul serio, no?* — *Serio* znaczy „na poważnie”. Wiedziała to nawet po butelce chianti i kilku łykach *vin santo*. Żądała odpowiedzi. Ale zanim zdołałam wypowiedzieć jedno słowo, ruszyła z szarżą. — *È bello, no?* Piękny. Saro jest piękny. — Wzięła moją twarz w dłonie i powiedziała: — *È un amico del cuore. Trattalo bene. È unico.* — Jest moim serdecznym przyjacielem. Traktuj go dobrze. Jest wyjątkowy.

Potem zniknęła, zostawiając po sobie niezapomniany widok kołyszących się tylnych kieszeni jej džinsów.

Wstałam, łaskotana podnieceniem, jakiego nigdy wcześniej nie czułam, i ruszyłam na górę do głównej sali restauracyjnej. Tłum nieco się zmniejszył. Teraz byli tu przede wszystkim jedzący w parach miejscowi, ale lokal wciąż tętnił życiem. Z głośników dobiegał chropowaty, ale delikatny jazzowy wokół Paola Conte, witryna z deserami była prawie pusta, nie licząc jednej porcji tiramisu. Zarumieniłam się, podchodząc do kuchni, żeby się pożegnać.

Saro się uśmiechnął.

— Podobało ci się? Chciałem przygotować ci coś, co sprawi ci przyjemność.

— Tak. — Poczułam się, jakbym była w stanie chodzić boso po rozgrzanych węglach.

— Dziś był duży ruch, nie mogłem przyjść na dół, żeby się przywitać. — Był bezpośredni, jego swoboda uwodziła. — Przyjdę jutro pod twoją szkołę.

— *Sì* — Monosylabiczne odpowiedzi były wszystkim, co mogłam z siebie wydusić. Potem Saro pochylił się i pocałował mnie w policzek. Jego skóra była wilgotna, lśniąca od oliwy z oliwek i potu. Kiedy się odsunął, nasze policzki wydały cichy odgłos odessania, co było słyszalną oznaką tego, że naprawdę się dotknęliśmy. Miałam nadzieję, że na tym

poprzestaniemy. Jeden całus był cudowny. Dwa całusy mogłyby mnie załatwić. Już mnie napełnił swoim jedzeniem, swoją kreatywnością. Teraz, mając go przed sobą we własnej osobie — jego oczy, nos, usta i delikatne czoło — zachwiałam się lekko na obcasach. Ale nie. Jeszcze ze mną nie skończył. Nachylił się do drugiego policzka i wyszeptał mi do ucha:

— Z przyjemnością będę to robił częściej. Tylko mi powiedz kiedy.

Wytoczyłam się na Via dell'Acqua tuż po północy, zahipnotyzowana jego skórą, jego jedzeniem, tym, jak jego dłoń dotknęła dołu moich pleców, kiedy się pożegnaliśmy. Wracałam do domu długą trasą, jadąc wzdłuż rzeki Arno, mojego ulubionego miejsca nocnych przejażdżek, gdy miasto spało. Przejechałam na drugą stronę Ponte Vecchio i zatrzymałam się, żeby popatrzeć w spokojną wodę rzeki w dole. Most był oświetlony bursztynowym światłem, a woda odbijała nocne barwy latarni i nielicznych okien.

Kiedy zjechałam z Ponte Vecchio w stronę domu, minęłam róg Borgo San Frediano i Piazza del Carmine, spoglądałam w górę na kościół naprzeciwko mojego mieszkania. Szczyci się on freskiem, który uznawany jest za pierwszą znaną pracę nastoletniego Michała Anioła. Pierwsze rzeczy nie są małe, są początkiem czegoś wspaniałego. Podejrzywałam, że właśnie się zakochałam w kradnącym rowery szefie kuchni: i jakkolwiek banalnie by to zabrzmiało, to była miłość od pierwszego kęsa.

• • •

Miłość, jako coś trwałego, była dla mnie nieuchwytnym konceptem. Moi rodzice rozstali się, kiedy miałam siedem lat, rozwiedli się, zanim skończyłam osiem. Moja mama wzięła ślub po raz drugi, gdy miałam dziewięć lat, tata, gdy miałam dwanaście. Kiedy byłam we Florencji, mama rozwodziła się ponownie, po niemal dwunastu latach małżeństwa z moim ojczymem. Jako dziecko mieszkalam w pięciu różnych domach w ciągu dziesięciu lat. Dom jednego rodzica na zmianę z domem drugiego rodzica. Drugi dom mamy, dom taty po rozwodzie albo ten, w którym mieszkał po drugim ślubie, z dzieckiem w drodze. Kiedy moje koleżanki ze studiów rozmawiały o „powrocie do domu,” często miały na myśli konkretne miejsce z sypialnią, w której wypadł im pierwszy ząb albo do której zakradał

się ich pierwszy chłopak. Taka wersja domu była dla mnie czymś obcym. Nie miałam stałego miejsca, z którym mogłyby wiązać się moje wspomnienia. Jasne, były jakieś budynki, nawet miejsca, które nazywałam domem, ale zawsze był w tym emocjonalny haczyk. Miałam w pewnym sensie podwójne dzieciństwo, próbując się dopasować do konfiguracji życia swoich rodziców, która w danej chwili obowiązywała. Było to dość powszechne doświadczenie w moim pokoleniu dzieci z wyżu demograficznego. Moi rodzice, Sherra i Gene, nie byli wyjątkiem.

Poznali się na początku studiów, wypchnięci na głęboką wodę rewolucji kulturalnej późnych lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych i działalności Panafrykańskiego Ruchu Wyzwolenia, który nazywaliśmy po prostu „Ruchem”. Moi rodzice rozpaczliwie pragnęli zmienić Stany Zjednoczone w bardziej sprawiedliwe i równościowe miejsce. Wzięli ślub w wieku dwudziestu i dwudziestu dwóch lat. Nie znali samych siebie i można śmiało powiedzieć, że nie znali dobrze siebie nawzajem. Przypuszczam, że podobala im się obietnica tego, kim mogli się stać. On był studenckim aktywistą, ona zaś piękną z stypendium naukowym, stojącą w pierwszym rzędzie, kiedy on przemawiał na kampusie. Byli idealistami zmieniającymi świat.

Ze względu na swoje kontrkulturowe działania oboje rodzice mieli założone akta w FBI. Mój ojciec był aresztowany za nawoływanie do zamieszek. Matka organizowała pracowników fizycznych w fabryce, w której pracowała; przyjęła jednocześnie stypendium dziekańskie na University of Houston. Siedziałam z nimi do późnej nocy na spotkaniach Komitetu Wsparcia Wyzwolenia Afryki, w byłych rezydencjach zakonnic Kościoła Katolickiego Najświętszej Marii Panny w Trzecim Okręgu Houston. Rodzice wystukiwali na maszynach ulotki, paląc papierosy. Na płycie w tle grali The Staples Singers. Mój tata podróżował ze Stokelym Carmichaelem, byłym członkiem Czarnych Panter, do Tanzanii i Zairu, próbując uczyć rewolucjonistów na Kontynencie-Matce tych samych technik oporu, które stosowali, próbując obalić dominację białego człowieka w Ameryce. To był szalony czas, który z łatwością mógł zniszczyć małżeństwo. I tak się stało.

Imię Tembekile zostało mi nadane przez nikogo innego jak Miriam Makebę, która była w tym czasie żoną Stokely'ego. Makeba była południowoafrykańską piosenkarką folkową na wygnaniu, znaną jako Mamma Africa. Była też wrogiem publicznym numer jeden dla rządu Republiki Południowej Afryki. Śpiewała o wolności, promując program walki z apartheidem od Paryża po Nowy Jork. Zanim byłam na tyle duża, by zrozumieć, kim jest, godzinami rozmyślałam o tej kobiecie, bohaterce, osobie, która wybrała dla mnie imię, zanim jeszcze wzięłam pierwszy wdech.

Ale to lekcja o niej w czwartej klasie sprawiła, że po raz pierwszy rozumiałam, co oznacza być wygnanym. Być wyrzuconym z własnego domu. Nie mieć go. Nie zostałam wygnana, bez wątpienia, ale jako dziecko nie zawsze czułam, że mam korzenie. Czasami nawet fantazjowałam, że zakładałam dom z Miriam Makebą. Postrzegałam ją jako matkę chręstną, której moi będący ateistami rodzice mi nie dali. W mojej dziecinnej fantazji ona i ja byliśmy dwiema wygnanymi osobami, ciskanymi po całym świecie.

Zanim moi rodzice skończyli trzydziestkę, Ruch zaczął się rozpadać, a na horyzoncie pojawiła się epoka Reagana. Rodzice, podobnie jak wiele innych osób z ich pokolenia, wycofali się z pierwszych szeregów demonstracji i zaczęli się zastanawiać, jak zarobić na życie w Stanach Zjednoczonych, które wcale nie chciały się zmieniać. Do tego czasu Sherra i Gene mieli dwoje dzieci — moja siostra Attica urodziła się trzy lata po mnie — które wozili wszędzie ze sobą, jednocześnie próbując, każde na własny sposób, stworzyć na nowo swoje wyobrażenie rodziny. Już dużo wcześniej przerobili dorosłość, zostali rodzicami, doświadczyli utraty marzeń.

Teraz we Włoszech, mając zaledwie dwadzieścia lat, starałam się rozgrzyć, co sprawia, że ludzie wiążą się ze sobą i zostają razem na zawsze. Pomysł, który przedstawił Saro, że łącząc się w pary, można stworzyć coś wspianalego i trwałego, był piękny, ale niesprawdzony. Jednak kiedy to mówił, wydawało się rzeczywiste i możliwe. Chociaż przedłużyłam swój pobyt i miałam wrócić do Ameryki za kilka miesięcy, Saro rzucił pomysł, że moglibyśmy wspólnie spędzić lato, że przyjechałby do mnie do Wesleyan. Pewnego razu, gdy skończyliśmy się kochać, powiedział:

— Ludzie jedzą na całym świecie. Mogę być szefem kuchni gdziekolwiek. Ty możesz być aktorką tylko w Los Angeles albo w Nowym Jorku. Będę przy tobie.

Chciałam podjąć z nim ryzyko. Było coś tak absolutnie pewnego w jego postrzeganiu naszej przyszłości. Nie miał żadnych wątpliwości. Wierzyłam w jego wizję, a wszystko, co robił, sprawiało, że się w niej zanurzałam. I czułam się bezpiecznie. Tak bezpiecznie, by otworzyć swoje serce, odsłonić się. Na tyle bezpiecznie, żeby zaryzykować z czymś, czego nikt w mojej rodzinie się nie spodziewał — potencjalnym związkiem na odległość ze starszym ode mnie o dwanaście lat Włochem bez ukończonych studiów, który liczył na to, że „gotowanie” zapewni nam środki na naszą wspólną przyszłość. To było nieprawdopodobne, romantyczne, idealistyczne i bezprecedensowe zarazem. Dla czekającej mnie podróży nie miałam żadnych wytycznych ani przykładów, których mogłabym szukać w życiu swoim lub swoich rodziców. Jego rodzice, jak wiedziałam z tej odrobiny, którą mi opowiedział, byli małżeństwem całe życie i mieszkali w miasteczku, w którym się urodzili. Saro i ja mieliśmy pójść własną ścieżką. Nie było nikogo, z kim moglibyśmy się porównać, do kogo moglibyśmy się zwrócić z pytaniem o wady i zalety związku na odległość dwóch osób z różnych kultur, o różnym kolorze skóry, mówiących w różnych językach. To było przerażające, ale też wyzwalające. Tak jakbym po raz pierwszy w życiu odważnie i zuchwale dokonywała sercem wyboru, który był bezkresny, intuicyjny i spełniał pragnienia mojej duszy.

Moja rodzina natomiast miała zastrzeżenia. Kiedy powiedziałam ojcu podczas jednej z naszych cotygodniowych niedzielnych rozmów, że spotykam się z mężczyzną, samo wspomnienie o tym, gdy byłam tak daleko od domu, taka młoda, uruchomiło jego rodzicielski alarm. Na domiar złego powiedziałam mu o zamiarze spędzenia we Włoszech jeszcze więcej czasu niż już zaplanowane przedłużenie pobytu. Oznajmiłam mu, że być może nie wrócę do domu na lato. Lub jeśli to zrobię, popracuję krótko w jego firmie prawniczej, żeby zarobić wystarczająco dużo pieniędzy na bilet powrotny do Włoch. To było wszystko, co musiał usłyszeć. On i moja

macocha Aubrey zarezerwowali bilet na najszybszy możliwy lot do Europy. Zostawili w domu, z mamą Aubrey, moich trzech małych braci, z których najmłodszy miał zaledwie rok i którego spotkałam tylko dwa razy. Polecieli do Szwajcarii najtańszym lotem, jaki tata był w stanie znaleźć. Potem wypożyczyli samochód i przejechali przez włoską granicę, na południe, do Toskanii i w końcu do Florencji. Tata powiedział, że chciał zobaczyć, jak sobie radzę, odwiedzić swoją córkę we Włoszech i zafundować Aubrey krótkie wakacje. To, czego nie powiedział, a co wyczułam, to, że miał twarde postanowienie spojrzeć w twarz pewnemu Włochowi. W razie potrzeby zamierzał mu powiedzieć, żeby się, do cholery, odczepił.

Tata przyjechał do Florencji w pełnych teksaskich insygniach, włącznie z kowbojskim kapeluszem, dżinsowymi spodniami i wysokimi butami ze skóry aligatora. Miał na sobie zamszową kurtkę i niech mnie diabli, jeśli nie miała doszytych frędzli. Sam jego widok, gdy wyszedł z Via Calzaiuoli i wypełnił swoją obecnością Piazza della Signoria, wystarczył, żebym zaczęła wielbić go jeszcze bardziej, a jednocześnie zaczęła zastanawiać się, co ja do licha zapoczątkowałam. To, że spotka się z Saro, nie podlegało negocjacjom. Właściwie zaproponował niezobowiązująco, żebyśmy razem z Saro dołączyli do niego i Aubrey na drinka w „centrum Florencji”. Tak więc Saro miał dotrzeć do nas krótko po tym, jak spotkałam się ze swoją rodziną. Byłam zdenerwowana, bałam się, że Saro będzie tak onieśmiewiony przez mojego ojca, że nie powie ani słowa albo, co gorsza, będzie się za bardzo starał.

Tymczasem on zjawił się punktualnie i był całkiem rozluźniony.

— Miło mi poznać was oboje. — Saro uściśnął dłoń mojego ojca i objął Aubrey. — Pomyślałem, że powinniśmy zjeść dziś razem kolację. Przygotowałem wszystko w swojej restauracji.

Tworzył atmosferę gościnności i otwartości, które mój tata, wiedziałam o tym, bardzo szanował.

Ale to Aubrey potrafiła od razu dostrzec miłość Saro. Później, po spacerze przez Florencję, obejrzeniu witryn sklepowych i zjedzeniu kolacji, powiedziała do mojego taty:

— I niech ci nawet nie przyjdzie do głowy komentować różnicy wieku między nimi. Ty też jesteś ode mnie o dwanaście lat starszy. Jest jasne jak słońce, co on czuje, nie musisz się tym martwić. — Rozwiała tym samym wszelkie niewypowiedziane wątpliwości, uspokajając obawy mojego ojca. Aubrey była ambasadorką Saro w moim klanie.

Z moją mamą nie miało pójść tak łatwo. Dochodziła do siebie po drugim rozwodzie i wskoczyła wprost w nowy związek z mężczyzną, którego poznała, o ironio, odwiedzając mnie we Florencji. Pochodził z Senegalu, był synem dyplomaty, muzułmaninem, wykształconym na Sorbonie. Stanowił przeciwieństwo mojego ojczyma, Amerykanina meksykańskiego pochodzenia, samozwańczego przedsiębiorcy, kochającego garnitury od Armaniego mężczyzny, z którym spędziła ostatnie dwanaście lat swojego życia. To małżeństwo spłonęło w ogniu kłamstw, wątpliwych decyzji biznesowych, podejrzeń o niewierność i innych oskarżeń, których skrawki do mnie dotarły. Zanim wyjechałam do Florencji, ich małżeństwo już się rozpadało. Moja matka nie mówiła o tym zbyt wiele albo może ja nie pozwalałam jej mówić o tym zbyt wiele. Ich separacja była wyczerpująca. Do mojego ojczyma ciężko było odczuwać przywiązanie, mimo że spędziłam z nim pod jednym dachem połowę dzieciństwa. Z natury nie wzbudzał zaufania i nie pomagało to, że lubił drażnić mnie dla sportu.

Gdy tylko ich rozwód stał się faktem, moja matka z radością wskoczyła do samolotu i przyleciała mnie odwiedzić. To było w trakcie przerwy bożonarodzeniowej, a ja nigdy wcześniej nie spędzałam świąt z dala od domu. Pomimo mojego uwielbienia dla Florencji nie zaczęłam jeszcze wtedy spotykać się z Saro i straszliwie tęskniłam za domem.

Kiedy popijałyśmy cappuccino i próbowałyśmy wypieków w kawiarni naprzeciwko ogrodów Boboli, ni stąd, ni zowąd zaczęła spokojnie, ale z ogromną determinacją przepytwać mnie, dlaczego w ogóle studiuję we Włoszech. Dla niej byłam dzieckiem aktywistów, ludzi, którzy zaszczepili we mnie poczucie kulturowej dumy i świadomości politycznej. Zostałam wychowana w taki sposób, by solidaryzować się z afrykańską diasporą, mierzącą się z wyzwaniem, które stoją przed osobami o innym kolorze

skóry. Dlaczego w takim razie przyjechałam do Włoch, serca kultury europejskiej, żeby studiować za granicą? Dlaczego nie byłam w Kenii, jak córka jej przyjaciółki, Mary, z jej dawnych lat w Ruchu? Córka Mary była stypendystką Fulbrighta i uczyła kenijskie dzieci angielskiego w ramach swoich studiów w Wellesley. Dlaczego nie byłam bardziej taka jak córka Mary? I dlaczego, na miłość boską, ciągle spotykałam się z „białymi chłopakami”? Pragnęła dla mnie czegoś więcej. I szczegółowo mi to wyjaśniła, kiedy siedziałyśmy, jedząc i pijąc.

— Ale, mamó, ja studiuję historię sztuki. Żeby skończyć studia, muszę mówić biegle po francusku, niemiecku albo włosku. Studiując w Kenii...

Przerwała mi, zanim skończyłam.

— Chodzi o to, jakie podejmujesz wybory życiowe związane z całym twoim życiem. Będąc tutaj, praktycznie wyklucasz możliwość poznania kogoś, kto nie jest biały. — Jej afrocentryzm miał swoje warunki, a w tej chwili wśród nich był jeden najważniejszy: „najpierw czarni, potem czarni, zawsze czarni”.

— Nie wiem, co powiedzieć. Lubię tutaj być i nie wykluczam nikogo ani niczego.

— Tak, robisz to. Z racji tego, gdzie jesteś, właśnie wyklucasz.

To była rozmowa, z której nie było wyjścia. Nie mogłam jej wygrać. Byłam córką czarnej aktywistki, która sugerowała, że się zaprzedałam. Proszę o kolejny kawałek pizzy. Wiedziałam, że nie zmieni zdania.

Nawet jeśli moi rodzice rozmawiali ze sobą o tym, że spotykam się z Saro, to oszczędzili mi szczegółów tych rozmów. Ostatecznie w kwestii uniesień serca każde z nich posiadało wystarczającą mądrość oraz intuicję, żeby zachować dystans. Gdy chodziło o miłość, byli gotowi powiedzieć, co mają do powiedzenia, a potem pozwolić swoim dzieciom albo utonąć, albo odlecieć. Bez względu na to, jaka była ich opinia, koniec końców wierzę, że chcieli, bym była szczęśliwa. A jeśli uszczęśliwiał mnie szef kuchni z Włoch, byli gotowi mnie wspierać. Przede wszystkim wychowali córkę, która wiedziała, jak trzymać się swoich przekonań, ale uczyła się też podążać za głosem serca. Gdzieś głęboko w środku mogli nawet

cieszyć się z mojej odwagi. Szanse na naszą miłość były tak nieprawdopodobne, tak niewielkie, ale oni nauczyli mnie walczyć o to, co się liczy.

• • •

W marcu nadal wynajmowałam pokój w mieszkaniu na najwyższym piętrze przy Piazza del Carmine. Pewnego wieczoru czekałam, aż Saro skończy pracę, i większość czasu spędziłam na rozmowie z nową amerykańską współlokatorką, Cristiną z San Francisco, która upajała mnie swoimi opowieściami. Zanim skończyłyśmy, było już po północy. Planowałam położyć się tylko na kilka minut, odpocząć i poczekać, aż Saro dotrze na plac jakoś tuż po pierwszej. Minęły cztery miesiące, odkąd kupił mi rower i wspólnie przejechaliśmy przez rzekę Arno. W tym czasie mieliśmy taki układ, że kiedy kończył pracę w Acqua al 2, opuszczał centrum miasta i przejeżdżał przez rzekę do Piazza del Carmine, gdzie czekał przed moim budynkiem. Stał po przeciwnej stronie ulicy, czekając, aż podejść do frontowego okna. Kiedy udawało mi się go zobaczyć, otwierałam mu drzwi domofonem. Nie mógł dzwonić do drzwi ze względu na jedną z moich współlokatorek, którą z Cristiną nazywałyśmy żartobliwie „Panią Jaskini”. Tak naprawdę była kanadyjską dziedziczką funduszu powierniczego, a jej nazwisko widniało na umowie najmu mieszkania, w którym podnajmowałyśmy pokoje. Była znana z wypowiedania umów dziewczynom, które zadawały się z uciążliwymi chłopakami. Dzwonienie dzwonkiem po dwudziestej drugiej było uznawane przez nią za uciążliwe.

Kiedy obudziłam się trzy godziny później, spocona od chianti i spanikowana, była trzecia trzydzieści. Zasnęłam tak mocno i głęboko po nieszczęśliwych historiach współlokatorki, że straciłam poczucie czasu i miejsca. Usiadłam wyprostowana na swoim małym dwuosobowym łóżku i natychmiast zdałam sobie sprawę, że coś jest straszliwie nie w porządku. Wskoczyłam z łóżka i prawie skręciłam sobie kark, biegnąc po marmurowej podłodze przez korytarz do frontowego okna mieszkania i myśląc: „Wiem, że go nie będzie. Przegapiłam go”.

Kiedy dotarłam do okna, rozgrzana z nerwów, pierwszym, co zobaczyłam, był ulewny deszcz. *Cholera! Serio?* Czy mogłoby być gorzej? Kiedy

wyjrzałam za okno w noc i spojrzałam w dół, okazało się, że on tam był. Mój Saro. Był mocno owinięty płaszczem, włosy miał mokre, w nieładzie. Patrzył w górę na okno naszego mieszkania.

Jedno spojrzenie na Saro i z krystaliczną ostrością dostrzegłam w nim coś nowego. Ten mężczyzna, szef kuchni, pokazywał mi, kim jest w głębi, wytrwałość swojego charakteru, niezachwianą wolę. Wyznał swoją miłość, przedstawił swoją wizję, ale teraz zmieniał tę miłość w działanie. Stał w deszczu tak, jakby rysował linię na piasku. Po jednej jej stronie pokazywał mi miłość, której mogłabym doznać z mężczyzną niezłomnym w swoim oddaniu, pozbawionym lęku, pewnym tego, czego pragnie — z kimś zdeteterminowanym ponad wszystko, by stanąć w obronie uczucia bez względu na to, co się wydarzy, bez względu na to, jak musi to zrobić. Bezwzględnie.

Po drugiej stronie tej linii było inne życie. To, które prowadziłam, zanim zaczęłam spotykać się z Saro, wypełnione przeciętnym zaangażowaniem i ambiwalentnymi relacjami. Ta linia była tak wyraźna, tak czarno-biała jak dowolny kadr z neorealistycznego filmu. Oto był mój nowy kochanek, mężczyzna, który czekał, stojąc w deszczu, długo po czasie, w którym jego odejście byłoby zrozumiałe. Oto był mężczyzna zakochany we mnie całym sobą. Czekanie na kogoś w ten sposób, w takich okolicznościach, było niezwykle aktem wiary i miłości. Co więcej, był to czyn mężczyzny wytrwałego, o niewzruszonym charakterze.

Kiedy zeszałam na dół, żeby go wpuścić, pierwszym, co zrobił, było zmoczenie mnie pocałunkami. Kiedy pomagałam mu zdjąć płaszcz, pierwszym, co powiedział, było:

— Cieszę się, że się obudziłaś.

• • •

Przed moim przyjazdem do Włoch mój ojciec i ja wybraliśmy się pewnego dnia pobiegać w jego sąsiedztwie w Houston, a on dał mi mądrą radę. Możliwe, że podzieliłam się z nim podejrzeniem, że małżeństwo mojej matki zmierza ku szybkiemu i zdecydowanemu końcowi. Właśnie spędziłam

lato, pracując w jego kancelarii, gdzie często zasypiałam w porze lunchu. Byłam znudzona w taki sposób, w jaki nudzi się studentka, która wraca do domu i nie ma pojęcia, co powinna robić.

Musiał wyczuć, że powinnam dowiedzieć się o związkach czegoś, co do tej pory było dla mnie niejasne.

— Tembi, na świecie jest mnóstwo ludzi, których możesz pokochać — powiedział pomiędzy oddechami.

— Dobrze, tato, biegnijmy. — Poczułam się niezręcznie z tą nagłą poufalością.

— Poczekaj, pozwól mi skończyć.

Nie chciałam tego okazać, ale przykuł moją uwagę.

— Jest wielu ludzi, może nawet *tysiące*, których możesz pokochać. Ale jest *niewiele* osób — mówił dalej, ważąc słowa — może tylko jedna lub dwie na całej planecie, które możesz kochać, *a przy tym* żyć z nimi w pokoju. To właśnie pokój jest kluczem.

Zatrzymał się nagle, w swoim T-shircie izby adwokackiej z 1987 roku, i spojrzał mi prosto w oczy. Miałam ogromną nadzieję, że nie zapyta mnie o szczegóły mojego życia miłosnego. Mój tata mówił mi o rzeczach, o których zazwyczaj słyszałam tylko przypadkowo, kiedy rozmawiał o wszystkim i o niczym ze swoimi przyjaciółmi nad szklaneczką burbonu i przy jedzeniu z grilla. Czułam, że to prawda. W związkach prawdziwie partnerskich miłość jest tylko tak dobra jak przyjaźń między partnerami.

Nie wiedziałam tylko tego, że kochanie kogoś długoterminowo w tym „pokoju”, którego tak desperacko pragnęłam, oznaczałoby również kochanie tych części tej osoby, które nie są widoczne. Chociaż serce Saro było otwartą księgą, tkwiła w nim jakaś tajemnica. W mojej rodzinie miłość była dana, trwała, otwarta, nawet gdy znajdowała się poza zasięgiem wzroku. Kiedy Saro mówił o swoim pochodzeniu, swojej rodzinie (co zdarzało się rzadko), był w tym ślad bólu, coś niepokojącego, odrobina rozczarowania, której nie potrafiłam określić. To był wycinek jego życia, który nie został mi jeszcze w pełni pokazany. Nie musiałam długo na to czekać.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

Pierwszy raz Tembi spotkała Saro na ulicy we Florencji. Uczucie między nimi wybuchło niemal natychmiast, choć pochodzili z całkowicie różnych światów. Saro był rodowitym Sycylińczykiem i szefem kuchni, a Tembi — czarnoskórą Amerykanką, artystką. Rodzina Saro ceniła tradycję i nie chciała zaakceptować jego małżeństwa z Tembi. Ich miłość jednak w końcu pokonała tę niechęć. Wtedy zjawił się nowy, groźny wróg — nowotwór. Saro dzielnie walczył o każdy dzień, ale bezlitosna choroba nie ustępowała. Mieli dla siebie coraz mniej czasu...

Sycylińczycy mawiają, że każda historia zaczyna się od małżeństwa lub śmierci. **Od zera** jest właśnie taką historią i — co istotne — wydarzyła się naprawdę. Po śmierci ukochanego kobieta wyjechała na sycylijską wieś, gdzie spędziła wiele dni ze swoją córką i teściową. Szukała śladów utraconej miłości, próbowała się nauczyć żyć bez Saro i pogodzić ze swoim wdowieństwem. Nie było to łatwe, ale proste życie, tradycyjna kuchnia i mądrość zżytej społeczności pozwoliły Tembi wreszcie odnaleźć ukojenie i odkryć tajemniczą siłę płynącą ze wsparcia kochającej się rodziny i trzech pokoleń kobiet.

Ta wzruszająca i pięknie napisana opowieść pokaże Ci, jak ważna jest odwaga, aby sięgnąć po miłość i walczyć o to, co ważne. Uzmysłowi Ci również, że zawsze jest nadzieja na odbudowanie siebie, nawet po najbardziej bolesnej stracie. Przekonasz się też, że włoskie jedzenie może smakować jak szczęśliwe życie.

ebook dostępny na:

ebookpoint

ISBN 978-83-8322-380-3



9 788383 223803

cena: 49,90 zł